

Wojciech Stanisławski: Cmentarz Rakowicki czy „Cmentarz w Pradze”?

Gdyby w użyciu były jeszcze papierki lakmusowe, skrawek przyłożony do najnowszej książki Rafała Matyi pokraśniałby od stężenia witriolu. Why so serious?

„Kraków – miasto zero”, tytuł, który można postrzegać jako dopełnienie trylogii rozpoczętej „Wyjściem awaryjnym” (2018), a już na pewno – dylogii, współtworzonej przez „Miejski grunt. 250 lat polskiej gry z nowoczesnością” (2021) mógłby być – zapewne będzie – ważnym głosem w rozmowie o modernizacji miast, rozmowie, której prof. Matyja jak najbardziej mógłby nadać ton. Tymczasem jednak z książki na książkę – piszę to, mając za sobą omówienie dwóch jego poprzednich tytułów – gęstnieje atmosfera resentymentu, pretensji, zarzutów (czasem niedopowiedzianych, czasem stawianych bardzo wprost), coraz bardziej komplikując lekturę. Podobny ton byłyby jak najbardziej na miejscu w dwudziestostronicowym pamflecie przedwyborczym: dyżurni tropiciele *hate speech’u* nie mieliby się do czego przyczepić, bo kaustyczność Rafała Matyi szybuje o kilka piętér ponad pospolitymi polskimi insynuacjami czy prostą kołatką Onetu (jak wiadomo, jeśli Onet referuje poglądy polityka jedynie słusznej koalicji, wypowiada się on „ostro” lub „stanowczo”; politycy jedynie niesłusznej opozycji są „pod lupą”, „oskarżają” lub „atakują”. Ten prosty zabieg pozwala czytelnikom popularnego portalu na dużą oszczędność czasu, którego nie muszą tracić na lekturę). Czemu jednak w pracy, zapowiedzianej jako refleksja nad ewolucją elit miejskich, a

zarazem akt odczytania, ba „zdeszyfrowania” rozmaitych wątków i kodów prozopograficznych, zapisanych w tkance największego w Krakowie Cmentarza Rakowickiego pojawić się musiało tyle – mówiąc Miłoszem – „gniewnych rumieńczyków”?

Nie chcę przesadzić z drobiazgowością w ich referowaniu, czuję się jednak w obowiązku zaprezentować Państwu bodaj garść z urazów, sugestii i niedopowiedzeń, które komuś pozbawionemu grubszej skóry fatalnie utrudnić mogą odbiór tej książki: nie przywykliśmy, biorąc do ręki esej socjologiczny, w którym przez ćwierć tysiąca stron autor walczy z opresją „sojuszu instytucji władzy, akademii i Kościoła (...) którego siła polega nie tylko [podkr. ws] na kontrolowaniu zasobów materialnych i spraw personalnych, ale także – a może przede wszystkim – krakowskiego porządku symbolicznego”.

Szranki tego nierównego pojedynku autor wznosi od pierwszych stron, kokieteryjnie deklarując brak stosownych kompetencji do stworzenia dzieła. W języku rosyjskim jest na to świetny termin: *pribiedniat'sja*, w każdym języku deklaracja własnych ograniczeń oznacza zazwyczaj ustawienie się w pozycji ofiary niesłusznych wykluczeń, krzywd, osądów. „Przed godniejszymi stoję” – deklaruje niesłusznie pomówiony o spiskowanie Mellechowicz w Chreptiowie. „Książki o Krakowie piszą ludzie z Krakowa. Zwykle zajmujący się głównie Krakowem, znający jego sekrety i w związku z tym starający się unikać błędów. Sam pomyśl, by za książkę o tym mieście zabrał się ktoś, kto urodził się w Warszawie, a w Krakowie nie spędził nawet jednej dziesiątej dorosłego życia, wydaje się karkołomny” – zapowiada czytelnikom niesłusznie wykluczony Rafał Matyja w pierwszych słowach wstępu. A jednak książkę napisał, zajmującą, choć może nie do końca spełniającą zapowiedzi, których nam nie szczędzi.

Zapowiedź jest zaś naprawdę frapująca: odczytanie ukrytych kodów społecznych Cmentarza Rakowickiego, które ujawnić nam mogą dzieje kształtowania się krakowskich elit. „Cmentarz jest punktem wyjścia dla rekonstrukcji społecznych sieci, hierarchii, zależności, o których wiemy niewiele” pisze prof. Matyja i nie sposób mu zaprzeczyć: o ile mniej wiedzielibyśmy o elitach wielkowiejskich, gdyby nie nagrobki Powązek, Salwatoru, Bródna, ba – te z Remu’ha, które nie skończyły jako płyty chodnikowe lub osełki!

Już na tym wczesnym etapie dociekań epistemologicznych kluczowe jest rozróżnienie między docieraniem do faktów po prostu dotąd nam niedostępnych (a odkrywanych dzięki wyobraźni uczonego, który potrafi wyciągnąć wnioski z rejestrów towarzystw ubezpieczeniowych, odczytać pismo linearne B, obliczyć stężenia pyłków w rdzeniach lodowych Antarktydy) – a faktów intencjonalnie przez kogoś ukrytych. I chociaż Cmentarz Rakowicki pod piórem Rafała Matyi nie staje się „Cmentarzem w Pradze” Umberto Eco, to atmosfera przenikania zawiązanego ze złą wolą spisku jest niemal równie sugestywna.

Zestawmy kilka zaledwie cytatów: „Cmentarz Rakowicki opowiada o innym Krakowie, nieuzbrojonym po zęby w dobrze kontrolowane narracje. Krakowie innych hierarchii, mieście do odkrycia, a nie do nauczenia się czy wtajemniczenia. (...) Można porównywać – wtedy, gdy taka wiedza jest dostępna – miejsca pochówku z miejscami zamieszkania. Z tego porównania nie wyjdą – nigdy nie wychodzą – żadne matematycznie rozumiane prawidłowości. Ale z pewnością dowiemy się tego, co w inny sposób nie ujrzałoby światła dziennego. (...) Narracje o tym mieście – publicystyczne i naukowe, oficjalne i potoczne – zawsze wywoływały we mnie wątpliwości. (...) trudno było

uniknąć wrażenia, że są niekompletne. Albo inaczej, że sposób opowiadania służy omijaniu sporej części zdarzeń. (...) Historia [Krakowa] przypomina rozmowy z członkami rodziny skrywającej jakieś tajemnice. I na wszelki wypadek snuje opowieści wyuczone na pamięć, nieróżniące się nawet przecinkiem, intonacją, sposobem wymawiania najważniejszych nazwisk, krakowskich dzielnic i ulic, miejsc opatrzonych nazwami zwyczajowymi, które znają tylko tutejsi”. Jeśli jednak pogrzebać, poznamy fakty „niemieszczące się w oficjalnej narracji, prowadzące do kolejnych pytań”.

Sytuacja jest, jak widzimy, dość nieprzyjemna: jest ktoś, kto „dobrze kontroluje narrację”. Jest wiedza, która „nie jest dostępna” – i nic dziwnego, skoro istnieje „oficjalna narracja”. Być może uda się dotrzeć do faktów, które „w inny sposób nie ujrzałyby światła dziennego”, ale nie będzie łatwo: mamy bowiem do czynienia z czymś w rodzaju „rodziny skrywającej jakieś tajemnice”, ba, skrywającej nie tylko instynktownie, jak historii o wuju, co zbyt lubił zaglądać do kieliszka, lecz wręcz „snującej opowieści wyuczone na pamięć”. Mamy zatem do czynienia z uzgadnianiem z góry zeznań, praktyką znaną nam dotąd lepiej z opisów walki z rodzinami Gambino i Genovese niż z badań nad rodami Estreicherów czy Wodzickich. Doprawdy, kto by pomyślał...!

Nic dziwnego, że – jak się okazuje – historię Krakowa pisali dotąd „ludzie z Krakowa”: innym albo nie było tego wolno, albo zwyczajnie nie potrafili się na to zdobyć. Lęk pęta dziejopisów, lęk przed ujrzaniem spraw kłopotliwych lub przerażających. Trzeba było dopiero zachęty Matyi („Gdy pójdziemy na cmentarz bez tej zbroi, bez lęku przed dowiedzeniem się czegoś, czego nie wiedzieliśmy”), by dokonał się przełom: „naszą wyobraźnię ożywią dziesiątki nieposkładanych w całość historii, nieoczekiwanych splotów zdarzeń”.

Cóż to za zbroja, rekwizyt odwołujący się tyleż do Kaczmarskiego, co do „Krzyżaków”? Jest to na pozór zbroja-metafora, zbroja narracji, okuwająca i zbyteczna: „Żeby na cmentarzu czegoś się nauczyć, nie wystarczy po nim spacerować – perswaduje Matyja - Trzeba z naszej wyobraźni zdjąć zbroję przesądów. Tych religijnych i historycznych, ale także tych politycznych i naukowych, ekonomicznych i kulturowych. Każdy ma swoją zbroję do zdjęcia”.

Żeby powstała jednak zbroja, potrzeba płatnerza. Kto był tym płatnerzem, a właściwie, biorąc pod uwagę represywne funkcje owej zbroi, kowalem kajdan? No cóż: „Niemal cały Cmentarz Rakowicki jest powiązany niewidocznymi dziś salonowymi koneksjami, akademickimi czy ziemiańskimi herbatkami lub bankietami, kręgami towarzyskimi i rodzinnymi, które dziś są dla nas coraz słabiej zrozumiałe. (...) Jakaś część krakowskich elit tęskniła jednak i tęskni za dawnymi porządkami polegającymi na – przetworzonej przez konserwatystów drugiej połowy XIX wieku – tradycji sojuszu arystokracji z inteligencją, opartymi na etykietach, konwenansach, przemilczeniach, samokontroli”.

Owoce tego sojuszu jest według Matyi panteon, który „stanowi syntezę zrodzonego dwieście lat wcześniej sojuszu instytucji władzy, akademii i Kościoła, wtedy jeszcze zasilanego przez arystokrację. Sojuszu, którego siła polega nie tylko na kontrolowaniu zasobów materialnych i spraw personalnych, ale także – a może przede wszystkim – krakowskiego porządku symbolicznego. Panteony kształtowane są przez jakieś kapituły, zbiorowości mające prawo konsekrowania czyjeś śmierci, a zarazem – chcąc, nie chcąc – zakuwania naszej wyobraźni w zbroję, w obowiązujący i niepodlegający swobodnej interpretacji kanon. Kanon, przy pomocy którego

kontrolowano ciągłość i sukcesję, a także zwiększano szansę na reprodukcję własnych ideałów w życiu kolejnych pokoleń. Z czasem coraz bardziej absurdalny i nonsensowny, ale nadal „obowiązujący”.

Sprawy zaszły daleko: Vito Corleone zadawał się kontrolowaniem zasobów materialnych i spraw personalnych *Little Italy*; współczesny Panteon trzyma w żelaznej garści krakowski porządek symboliczny! Zadanie wydaje się niemal beznadziejne: krakowskie elity powiązane koneksjami, przeciw nim zaś – jeden sprawiedliwy. Biorąc pod uwagę, że zarówno zbroja (przynajmniej tej jej odmiany, do których należy husarska karacena), jak smoczy pancerz stworzone są z łusek, trudno nie wspomnieć na szewczyka Dratewkę, występującego przeciw smokowi... Ale też podobny czeka go triumf: „Kontrola nad naszą uwagą i wyobraźnią – pisze Matyja – wymknęła się pokoleniom nauczycieli i twórców patriotycznej wizji dziejów, tysiącom ornamentatorów wspieranych przez ostatnie stulecie z kasy państwa dbającego o nasze morale”. „Zepsucie obrazu świetlanej przeszłości – dodaje z charakterystyczną ironią, od której chłodu zgasnąć by mogły płomienie w Smoczej Jamie – jest nieuchronne”.

Nastąpił zatem kres władzy Panteonu, w znacznej mierze za sprawą „globalnego kapitalizmu”, którego Matyja postrzega, bez zbytnej sympatii, jako taktycznego sojusznika, jako chaotyczne, lecz niemożliwe do powstrzymania narzędzie przemian. „Triumfalnemu pochodowi globalnego kapitalizmu – pisze – towarzyszą bowiem zmiany w przestrzeni medialnej, politycznej i obyczajowej niemożliwe do kontrolowania, choćby się komuś zdawało, że miastem rządzi się przy pomocy personalnych nominacji lub ich blokowania bądź panowania nad symbolicznym porządkiem oficjalnych uroczystości i pogrzebów”.

Na Cmentarz Rakowicki wkracza, z dymiącym jeszcze pistoletem, *lieutenant detective* Rafał Matyja. I to tu, jak zapowiedział, prowadzić będzie dochodzenie: „Bo cmentarne alejki mówią głośniej i bardziej jednoznacznie, że wszystko było inaczej. Próbowałem kiedyś – wspomina porucznik czasy, gdy Panteon próbował jeszcze wodzić go za nos – przejść przez Cmentarz Rakowicki wytyczonymi przez przewodniki «narodowej pamięci» ścieżkami. Idąc nimi, trzeba mijać wielkie, tajemnicze grobowce i być przekonanym, że nie ma w nich nic ciekawego, że wszystko, co najważniejsze, kryje się przy szlaku miejsc pochówku wielkich Polaków. I być przekonanym, że odwiedzamy tylko wypielegnowane zasługi, solennie ocenzone życiorysy – a reszta jest niegodna naszej uwagi. Że liczą się tylko ci zmarli, którzy żyli życiem posągów i bohaterów”.

Nie z Matyją takie numery. Nie dziś. Nie ma już żadnego „trzeba”, żadnego terroru „poprawności (...) cmentarnej, odnoszącej się z szacunkiem nie – jak w poprawności politycznej – do innych i obcych, ale do swoich i dobrze znanych. Z początku chodzi w niej o to, by nie ranić tych, którzy zostali, sprawami dotyczącymi zmarłych. Chwilę potem, by poukładać przeszłość w opowieść nienaruszającą dobrego samopoczucia szerszej grupy, krewnych, kolegów z pracy, jakiegoś środowiska społecznego”.

Co zatem udało się Matyi ujawnić? Jakie koszmarne tajemnice skrywały „wielkie, tajemnicze grobowce”, ile tuzinów Barbar Ubryk, ofiar rytualnych mordów na pamięci, dintojry na tych, którzy wyłamali się z nakazów poprawności cmentarnej? Czy dowiemy się, ile niewinnych klas ludowych i jednostek mają na rękach „rodziny” Siemeńskich, Louisów, Niezabitowskich i Betlejów?

Śledztwo zapowiada się nieźle. „Coś zawsze jednak można znaleźć – zachęca profesor. – Odszukać groby ludzi z ówczesnej elity władzy, świata kultury, sportu, nauki. Pobawić się koligacjami”. Takie podszyte pogroźką obietnice, że jak się poszuka, „coś zawsze można znaleźć” dotąd typowe były dla kina akcji, może nawet bardziej PRL-owskiego niż amerykańskiego: dziś mają szansę stać się narzędziem prozopografii antyelitarnej. Coś zawsze można na was znaleźć, Legutko.

Czy jednak tak obiecująco zakrojone śledztwo przyniosło podobnie obfity plon, jak w przypadku słynnych antymafijnych procesów, w których na ławę oskarżonych trafiały setki podsądnych, wyroki liczone w tysiącach lat, a na potrzeby przechowywania akt wznoszono biblioteczne silosy?

I tak, i nie. Zbiorowy podejrzany jest znany. Jest nim oczywiście krakowska elita, której niektórym przynajmniej członkom „brakuje osób, które (...) stałyby na straży ich zamkniętego świata”. Mamy zresztą do czynienia z wieloletnim procederem: podobne ambicje Panteon żywił w wieku XIX, żywił – jak w cytowanym zdaniu – „w latach osiemdziesiątych XX wieku”, żywi je i dziś. Władcy narracji (w tym, cytowana z nazwiska, Karolina Grodziska-Ożóg) „marginalizują kluczowe dla nowoczesnych porządków zajęcia, takie jak polityk, urzędnik czy przedsiębiorca, a podkreśla jako ważne aktywności artystyczną, sportową, naukową oraz walkę w obronie ojczyzny”. Czyli mamy, mówiąc klasyką kina noir, zwyczajowych podejrzanych: „opowieści: o zaborach, modernizacji, klasach społecznych, a także o walce o niepodległość. Te ostatnie wybielają bohaterów posiadających w tym obszarze zasługi, ale sprawiają, że stają się oni – niekiedy

grupowo – niewidoczni jako uczestnicy innych wymiarów życia, szczególnie tego gospodarczego”. Zwróćmy uwagę, proszę, jak rozbudowana była narracja mafijna: bohaterów (walki o niepodległość) **wybielano** [podkr. moje, ws], zarazem czyniąc ich **niewidocznymi** [podkr. moje, ws] w innych obszarach.

Ale cmentarz, co z samym dochodzeniem na temat cmentarza? Znaczenie rozszyfrowania ukrytej w nim opowieści, rozpoznania ukrytej struktury przestrzennej i symbolicznej prof. Matyja powtarza w swojej książce bodaj kilkunastokrotnie. Słusznie, bo biorąc pod uwagę scenariusz filmu akcji, sceny na cmentarzu mają ogromny potencjał: można by nawet podjąć pierwsze decyzje obsadowe, rozważyć, czy profesora Matyję powinien zagrać raczej Eric Cantona (brwi, żuchwa) czy Robert Foster (uśmiech, oczy, sylwetka). Niestety: choć sam autor podkreśla, że „to bardzo ciekawy trop, któremu można poświęcić dłuższe «śledztwo». Na przykład grobowi rodziny Syrzistie, rozległemu grobowcowi kupieckiej rodziny Kwiatkowskich czy rodziny Fleischmanów. Za każdym razem jest podobnie. Pierwsze wyniki wyszukiwania sprawiają wrażenie, że nie mamy w rękach nawet końca nitki, żadnej dającej się przetworzyć wiadomości...” – szczegółowej dochodzeniówki brakuje. Owszem, pojawia się zestawienie miejsc zamieszkania krakowskich radnych z początku XX wieku z zajmowanymi przez nich na cmentarzu parcelami, wykaz czy odsetek pochowanych na Rakowickim pierwszych sekretarzy KW, rektorów czy dziekanów, członków kilku dynastii lekarskich czy prawniczych. To jest stanowczo za mało nie tylko na *blockbuster* w rodzaju „Kodu da Vinci”, ale nawet na to, by uznać za spełnioną zapowiedź systematycznej dekonstrukcji kodów i porządków największej krakowskiej nekropolii.

Co zatem, ostatecznie, znalazło się w wielkim akcie oskarżenia?
Spróbujmy wymienić ustalenia śledztwa i zarzuty w punktach, tym bardziej że niektóre z nich mają naprawdę niemałą wartość poznawczą.

Była już mowa o oskarżeniach najważniejszych: o istnieniu grupy trzymającej narrację, która ośmiela się dążyć do reprodukcji nie tylko swoich zasobów i wpływów, ale i wzorów kulturowych. Nie jest to zarzut bezpodstawny, choć przyznać trzeba, że do niedawna trudno go było znaleźć na stronach kodeksów karnych, a gdyby tam figurował – trudno byłoby znaleźć elitę – konserwatywną czy postkomunistyczną, municypalną czy redakcyjną, kontrkulturową czy religijną – która byłaby wolna od podobnych skłonności. Taka już chyba natura elit, że usiłują reprodukcja swoje wartości i wpływy. Oczywiście, staje się to mocno podejrzane w czasach zwrotu przeciw „terrorowi tożsamości” – i prof. Matyja zdaje się sympatyzować z tą falą oskarżeń, choć nie jest przecież zagończykiem „zwrotu ludowego”: gra na samodzielnie wybranym polu.

Również o drugim poważnym zarzucie była już mowa: o narzucaniu jako dominujących bohaterów patriotycznych, insurekcyjnych, politycznych – kosztem uznania dla rzemieślników, kupców i administratorów, „ludzi bez tytułów, którzy wszystkiego dorobili się sami, bez dziedziczonych fortun, sownie opłaconej edukacji, ścieżek kariery wytyczanych rodzinnymi koneksjami i których obecność w symbolicznych hierarchiach miasta była zdobywana tylko dzięki pięknej kamienicy i imponującemu nagrobkowi”. To również zarzut nienowoty (zdaje mi się, że czytywałem już o nim u Staszica i Świętochowskiego), ale i niebezpieczny. Dwa zero dla Matyi, trujące Akropolis chwieje się w posadach.

Czy jednak pojawiają się zarzuty bardziej współczesne, dotąd niespotykane w dyskusjach nad polską historią? Owszem, choć przede wszystkim mamy do czynienia z ich aktualizacją, z osadzeniem już nie w czasach Stańczyków i socjalistów, lecz w naszych. Elitarny Kraków, zdaniem Matyi, ciągle nie dopuszcza do głosu innych hierarchii wartości: *bene nati* nadal „trzymają w rękach narzędzia kształtowania symbolicznej tożsamości Krakowa. Jest [tam] wszystko, co krakowskie – szacunek dla mistrzów-profesorów, dla byłych dyrektorów, przekonanie, że miasto jest definiowane przez Wawel, zabytki, uniwersytet”. Nadal niedostrzegany jest przez elity wkład „przyjezdnych, także z takich stron, o których w Krakowie mówi się z przekąsem lub wprost złośliwie – z kieleckiego, rzeszowskiego, z Zagłębia”. Kraków „nadal nie dostrzegł jako wartości tego, że buduje swoją wielkość w znacznej mierze dzięki osobom, które z trudem włącza w swoją miejską społeczność” a – uwaga, ukryte szyfry! – na cmentarzu „Nowej Huty nie widać”.

To jednak nie wszystko. Najciekawsze są bowiem zarzuty, postawione krakowskim elitom za ich postawę wobec PRL. Najbardziej odkrywczе, świeże i posiadające potencjał rzeczywistego, a nie tylko czysto nagonkowego wyzwania.

Po pierwsze bowiem, twierdzi Matyja, elity krakowskie stroją się niezasłużenie w pióra opozycyjności, przypisując sobie rolę niezłomnych oponentów PRL, którymi nie były. „Problemem podstawowym, jaki mają krakowscy autorzy piszący o powojennym Krakowie – twierdzi profesor – jest chęć utrzymania przekonania, że Kraków był w PRL-u traktowany przez władze jako byt obcy. Że poza garstką karierowiczów – często urodzonych gdzieś na odległej

provincji – nikt na serio z nowymi porządkami się nie układał. A ponieważ jest to teza nie do utrzymania, o życiu miasta w epoce PRL-u pisze się mało”. I przypomina autor, co prawda nie sięgając do grobowców, lecz do akt, że *bene nati* i w stalinizmie, i po nim, owszem, piastowali kluczowe funkcje.

Piastowali – ale się brzydzili i stronili. To drugi, osobliwszy zarzut. Matyja na serio ma za złe krakowskim elitom (i w tym już bliższy jest autorom „zwrotu ludowego” czy Andrzejowi Lederowi) że nie doceniły PRL i skali dokonanych wówczas przemian społecznych. A przecież „Ramy polityki PRL-u nie stanowiła tylko ideologia czy podległość wobec ZSRR. Choć te dwie cechy były bez wątpienia wadami. Ramą była także rewolucyjna zmiana stosunków społecznych. Budowa innego narodu i innego społeczeństwa. Niby przypieczętowana rewolucją Solidarności, ale nie do końca i nie wszędzie. Odwrócony od PRL-u wzrok części elity krakowskiej oznacza coś więcej niż antykomunizm po komunizmie. Coś więcej niż pogardę dla aparatczyków czy systemowej niewydolności tamtej gospodarki”. Oznacza – dopowiedzmy – tani, a zarazem nieznośnie anachroniczny elitaryzm, „anty ludowość”, której Matyja nie może elitom darować. Według nich bowiem „Historia Cmentarza Rakowickiego urywa się w roku 1939. Dalej nie ma niczego. Kraków powraca na arenę dziejów w 1978 wraz z pontyfikatem Jana Pawła II, a w pełni dopiero wtedy, gdy staje się miastem Trzeciej Rzeczypospolitej. PRL-u tu nie było. Był w Warszawie i Tarnowie, w Katowicach i Kielcach. W Krakowie zatrzymał się na Nowej Hucie”.

Krytykowane zatem przez Matyję elity krakowskie skażone są powierzchownym antykomunizmem, arystokratyzmem, patologicznym ekskluzywizmem. To ta szkoła myślenia trafia na ławę oskarżonych – szkoła myślenia, w której dziełach, jak w „Historii Krakowa w czasach

PRL” autorstwa Andrzeja Chwalby „duch krakowskiego ekskluzywizmu, niechęci do Warszawy i poczucia wyższości wobec wszystkiego dookoła jest (...) wyraziście obecny, tak jak w pamiętnikach Estreichera, eseju Legutki i wielu tekstach powstających na co dzień w [jej] ramach.

Co gorsza, dopowiedzmy, *bene nati* są w tym oporze nie tylko zadufani i osamotnieni, ale i śmieszni. Są bowiem, jako się rzekło, skażeni współpracą z PRL, której się wypierają – tymczasem już w latach 70. „tym, co stanowiło pewną siłę podmiotową, nie był żaden stary konserwatywny Kraków, często już urządzony w nowych porządkach, choć w sensie symbolicznym z nimi niepokodzony. Radykalnie opozycyjny był Kraków studencki i robotniczy, częściowo akademicki i z pewnością artystyczno-kulturalny”.

Tyle głównych wątków aktu oskarżenia; wydaje mi się, że nie pominąłem tych najważniejszych. Czy bezzasadny? Nie sądzę: cała Polska podśmiewa się z krakowskiej wsobności i fochów od co najmniej 150 lat. Czy sporządzony bezstronnie? Tu mam poważne wątpliwości. Matyja pisze z ogniem o krakowskich „fantazjach na temat posiadania tożsamości [które] konstruuje się przeciwko jakimś okolicznościom. Komunizmowi lub dominacji Warszawy, postawieniu Nowej Huty lub innej fali ludności napływowej”. Czy jednak naprawdę nie zdarzają się również fantazje na temat posiadania tożsamości, którą konstruuje się przeciwko innym okolicznościom? Na przykład – bezwzględnej dominacji Panteonu, winnego terroru narracyjnego, arystokratyzmu, kolaboracji z PRL i antyludowości w jednym?

Że podobna okoliczność mogła nastąpić, nawet w przypadku profesora Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, którą to godność sprawuje autor „Miasta zero”, przekonuje mnie po części projekt pożądanej zmiany, jaką kreśli Rafał Matyja w finale swojego eseju.

Pisze on bowiem o współczesnym mieście (nie tylko Krakowie) – i są to obserwacje ważkie, i bardziej zrozumiałe staje się, czemu książkę o „Mieście zero” wydała oficyna Karakter, od lat z ruchami miejskimi sympatyzująca – w te słowa:

„Współczesne miasto nie jest już bowiem żadną «wspólnotą mieszkańców». Debata publiczna, jaka się w nim toczy, przypomina raczej internetowe forum użytkowników niż – przepraszam za kiczowaty termin z broszur o partycypacji – współczesną agorę. Miastem nie rządzą ani prezydent, ani rada, ale żywioł globalnego kapitalizmu, który postrzega przestrzeń miejską jako kolejny obszar zyskowej eksploatacji. Kraków nie rodzi w swoich mieszkańcach jakiejś jednej odrębnej tożsamości. Jest splotem tożsamości wzajemnie sprzecznych, nierzadko skonfliktowanych ze sobą”.

Kim są, według Matyi, pożądani obywatele takiego *polis*? Pisze on o „sporej grupie – głównie tych, którzy się tu nie urodzili – która się w tej miłości [do „tradycyjnego Krakowa” – ws] nie odnajduje, którą wiele cech krakowskiej społeczności drażni, a niekiedy rani. Dla wielu mieszkańców Kraków ze starej opowieści jest za mały, by mogli się w

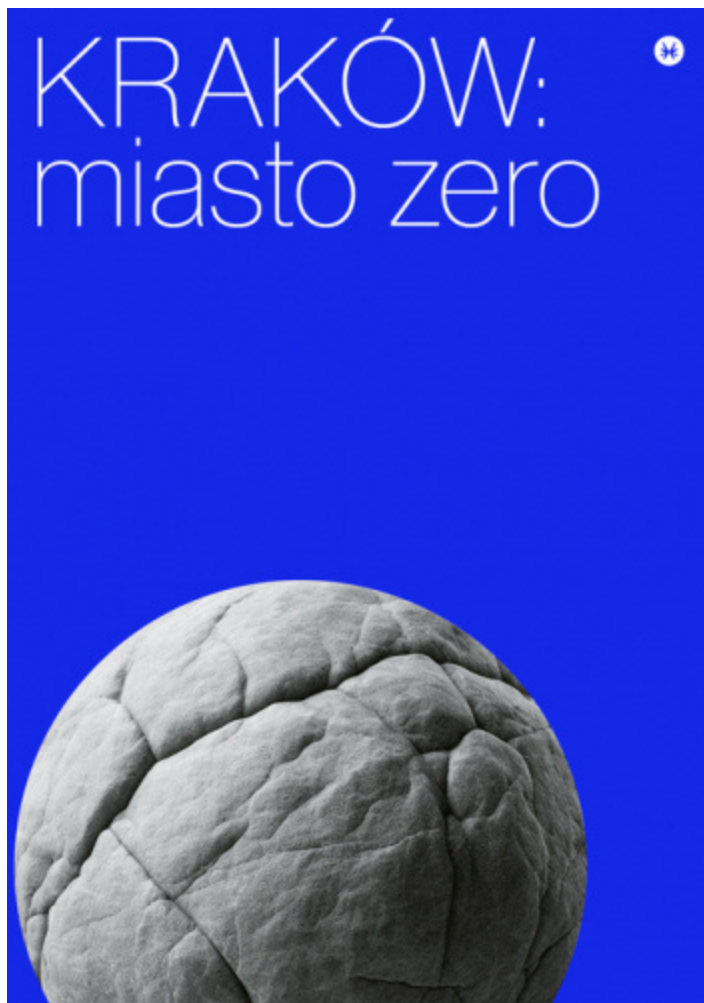
nim dobrze poczuć. To przede wszystkim ci, którym nie przeszkadza to, że wychowali się na wielkim osiedlu, że są z Nowej Huty, że są pierwszym wykształconym pokoleniem.

I mimo to nie chcą być «antykrakowscy». Bo mają w tym mieście rzeczy własne, światy i miejsca, które lubią. Czasami nawet je nazywają. Ale zawsze jako lokalne i mniejszościowe, nie jest to inna opowieść o całym Krakowie. (...) [Należy] uznać, że współcześni mieszkańcy – bez względu na to, kiedy przyjechali i na jakim osiedlu mieszkają – są gospodarzami, a nie podejrzanego pochodzenia uzurpatorami”.

I znów: zamykałbym oczy na rzeczywistość, gdybym uznał, że powyższe obserwacje są nieprawdziwe. Owszem, coraz trudniej o jednorodną tożsamość, coraz bardziej oczywisty jest permanentny konflikt nawet nie „dwóch duopoli”, lecz wielu tożsamości niedomkniętych lub emancypujących się. Tak, oczywista jest obecność warstw i grup dotąd niedostrzeganych, pojawianie się przybyszów, którzy również pretendują nie tylko do udziału w dobrach, lecz i we „władzy narracyjnej”.

Czy jednak jest to stan pożądaný, czy zaledwie nieuchronny? Czy należy mu wyjść naprzeciw, czy modyfikować go, lub wręcz dążyć do powstrzymania tych procesów?

Być może łatwiej byłoby odpowiedzieć na te pytania, jeśli w trzech ostatnich akapitach pod słowo „Kraków” podstawimy „Polska”. Lub wręcz „Europa”.



**Rafał Matyja, *Kraków – miasto zero*, Wydawnictwo Karakter,
Kraków 2024**

Wojciech Stanisławski

Recenzje Wojciecha Stanisławskiego w ramach cyklu „Czytelnia publiczna” ukazują się co dwa tygodnie. Wcześniejsze to m.in:

- *Empireum na Elektoralnej*
- *Nowoczesne historie Ukrainy*
- *Lastryko, dębina, siena palona*
- *Szaranagajama*
- *Na górze czajnik, na dole krzyk. Koszykowa*
- *Dumka o imperium*
- *Między „Kolumbami” a trumną*
- *Maligna*
- *Nowojorski ptak*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
